

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Eugeniusz Sue

Tajemnice Paryża

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Tom I

I

Wstęp

Wieczorem 13 grudnia 1834 roku atletyczny mężczyzna, odziany w podartą bluzę, przeszedł most Pont-au-change w Paryżu i zagłębił się w labiryncie wąskich, krętych i ciemnych uliczek dzielnicy Cité. Porywisty wiatr hulał w ponurych zaułkach, chwiejne światło ulicznych latarni odbijało się w strumyku czarnej wody płynącej środkiem chodnika. Domy miały kolor błota, potłuczone szyby w nielicznych oknach, ciemne sienie i strome schody. Parter tych ruder zajmowały sklepiki węglarzy i garkuchnie.

Dziesiąta biła na zegarze. Pod sklepieniami przysionkami, ciemnymi jak jaskinie, przysiadło kilka kobiet. Niektóre śpiewały półgłosem. Mężczyzna musiał znać jedną nich, bo nagle schwycił ją za rękę. Cofnęła się z przestachem:

- Dobry wieczór, Szurynerze.
- Gualezo! – rzekł mężczyzna. – Idź, kup mi wódki albo zobaczysz, jak z tobą potańczę.
- Nie mam pieniędzy – odpowiedziała kobieta drżąc cała.
- Szynkarka ci skredytuje!
- Nie zechce, i tak jestem jej sporo winna...
- Śmiesz jeszcze gadać?! – zawołał Szuryner i wściekły rzucił się w pogoń za dziewczyną.
- Nie zbliżaj się do mnie – powiedziała śmiało – bo ci oczy wyłupię. Nic ci nie zrobiłam, czemu mnie chcesz bić?
- Zaraz ci powiem! – zawołał bandyta. – A! Mam cię! Teraz potańczysz!
- Ty sam potańczysz! – odezwał się jakiś męski głos.
- Kto tam? To ty, Czerwony Janku?
- Nie jestem Czerwonym Jankiem – rzekł nieznajomy.
- Dobrze, nie jesteś z naszych, spróbujmy się! – zawołał Szuryner; w tejże chwili miętka, wypieszczona dłoń schwyciła go za gardło tak silnie, iż zdawało się, że cienka skóra okrywa mięsne muskuły stalowe.

Dziewczyna, uciekły w głąb sieni, rzekła do nieznajomego obrońcy:

- Dziękuję panu, żeś ujął się za mną... Szuryner chciał mnie zabić. Teraz mnie już nie dostanie; strzeż się go... To znany nożowiec!
- I ja także chwyt, z którym niełatwa sprawa – odpowiedział nieznajomy.

Wszystko umilkło; przez kilka sekund wśród wycia wiatru i plusku deszczu słychać było tylko gwałtowne szamotanie się walczących. Nieznajomy wyciągnął Szurynera aż na ulicę; podstawił mu nogę i przewrócił go, a gdy tamten znowu się porwał, obrońca Gualezy zaczął mu bębnić pięściami po głowie; uderzenia spadały gęsto jak grad. Nareszcie Szuryner, ogłuszony, padł na bruk.

- Nie dobijaj go, miej litość – rzekła Gualeza, która podczas tej bitki wyszła na próg domu.
- Lecz kim pan jesteś? Prócz Bakalarza nikt nie jest silniejszy od Szurynera...

Nieznajomy zamiast odpowiedzieć słuchał uważnie głosu mówiącej; nigdy tony srebrzyste nie głąskały mu ucha; chciał dojrzeć rysy twarzy, ale noc była zbyt ciemna, a światło latarni zbyt słabe.

Tymczasem Szuryner, poleżawszy kilka minut bez ruchu, wyciągnął rękę, przygiął nogi, aż wreszcie usiadł.

– Strzeż się! – zawołała Gualeza, uciekając znowu do sieni i ciągnąc nieznanego za sobą.

– Bądź spokojna, jeśli mu mało, posłużę czymś więcej.

Bandyta dosłyszał.

– Zbiłeś mnie na kwaśne jabłko, na dziś mam dosyć; kiedy indziej, to nie mówię...

– Co! Czyś niezadowolony? – zawołał groźnie nieznanomy.

– Nie! Jesteś chwat – rzekł bandyta ponuro. – Dałeś mi dobrą lekcję, a wyjąwszy Bakałarza, nikt dotąd nie pochwalił się, że mnie zwalił z nóg...

– Dobrze, cóż z tego?

– Co z tego? Znalazłem mistrza. A i ty swego znajdziesz prędzej czy później. To tylko pewne, że teraz, kiedyś zwyciężył Szurynera, możesz robić w Cité, co ci się spodoba; wszystkie dziewczki będą twoimi niewolnicami; szynkarze nie poważą się odmówić ci kredytu... kto ty jesteś?

– Chodź ze mną na kieliszek – rzekł nieznanomy – a poznasz mnie.

– Dobrze!... Uznaję w tobie mistrza... tego wywijasz pięściami... jak mi to leciało na łeb!... To wcale nowa sztuka... musisz mnie jej nauczyć...

– Zacznę na nowo, skoro zechcesz...

– Nie! Jeszczem odurzony... ale czy ty znasz Czerwonego Janka, żeś stał w sieni jego domu?

– Czerwonego Janka? – zdziwił się nieznanomy. – Mieszka w tym domu?

– Nie inaczej, człowieku, Janek ma swoje powody, żeby nie lubić sąsiadów.

– Tym lepiej dla niego – odpowiedział nieznanomy. – Nie znam żadnego Czerwonego Janka! Deszcz padał, więc wszedłem na chwilę do sieni, żeby nie zmoknąć... tyś chciał zbić dziewczynę, tymczasem ja cię wybiłem... i tyle tego.

– Ano dobrze; zresztą twoje sprawy mnie nie obchodzą; nie wszyscy, co mają interes do Czerwonego Janka, trąbią o tym... – A zwracając się do Gualezy, dodał: – Daję słowo, dobra z ciebie dziewczyna! Nie chciałem ci zrobić nic złego, ale to ładnie, żeś tego szaleńca nie podszczywała na mnie, kiedy mu ustąpiłem... Pójdiesz pić z nami! On płaci! A gdybyśmy tak, mój panie – rzekł znowu do nieznanego – zamiast iść na wódkę poszli co zjeść?

– Zgoda. Idziesz z nami, Gualazo? – rzekł nieznanomy.

– Dziękuję, po tej waszej bójce mdło mi się robi. Nie chcę już jeść...

– Zachce ci się „Pod Białym Królikiem” kuchnia wyśmienita.

I wszyscy troje w najlepszej zgodzie poszli do garkuchni.

Podczas gdy nieznanomy walczył z Szurynerem, jakiś węglarz olbrzymiego wzrostu, ukryty w innej sieni, przypatrywał się niespokojnie kolejom bitwy. Bandyta i Gualeza już przestąpili próg garkuchni, a nieznanomy miał właśnie wchodzić, gdy węglarz zbliżył się i szepnął:

– Książę... błagam, miej się na ostrożności!...

Nieznanomy wzruszył ramionami i wszedł. Węglarz stanął pod drzwiami garkuchni, nadstawił pilnie ucha i zaglądał niekiedy przez mały otwór, znajdujący się w grubej powłoce wapna i kredy, którą szyby jaskiń łotrowskich zawsze są zamalowane.

II *Garkuchnia*

Dom, w którym mieści się garkuchnia „Pod Białym Królikiem”, ma dwa okna z frontu; garkuchnia znajduje się na dole. Jest to zadymiona, brudna izba; po obu jej stronach sześć stołów i tyleż ławek przymocowanych do muru. Gospodyni ma trzy rzemiosła: wynajmuje mieszkania na noc, trzyma szynk i wypożycza suknie nierządnicom. Gospodyni ta, lat czterdziestu, otyła, czerwona, siedzi za długim stołem, na którym pełno kwaterek z cyny, a za nią na półkach stoją flaszki z wódką.

Dwaj ludzie ponurego wejrzenia, odziani prawie w łachmany, ledwie tykali wina, co przed nimi stało, i rozmawiali z widocznym niepokojem. Jeden – blady, szpakowaty – nasuwał często na oczy starą czapkę, a lewą rękę ciągle trzymał ukrytą. Przy innym stole siedział chłopak szesnastoletni, o twarzy zapadłej i przygasłym wzroku; długie, czarne włosy spadały mu na szyję; palił tytoń z glinianej fajki, wyciągnął nogi na ławę i to buchał dymem, to popijał sporą miarkę wódki. Reszta gości niczym się nie wyróżniała: twarze dzikie albo rozbestwione, wesołość grubiańska albo rozpustna, milczenie ponure albo głupkowate.

Weszli Szuryner i Gualeza wraz z nieznanym.

Szuryner – wysokiego wzrostu, atletycznej budowy – miał twarz spaloną słońcem i ognistorude bokobrody. Rysy jego wyrażały zwierzęcą zuchwałość. Za całą odzież nosił wyszarżałą niebieską bluzę i spodnie, których pierwotną barwę zaledwie można było rozeznac pod grubą warstwą błota.

Gualeza miała lat szesnaście. Jej czyste czoło wznosiło się nad owalną twarzą, rozjaśnioną niebieskimi oczami o długich rzęsach. Purpurowe usta, zgrabny nos i cudne, jasne włosy nadawały jej rysom wyraz niemal anielski. Na głowie miała bawełnianą chustkę, na szyi sznur koralii. Głos Gualezy, słodki, harmonijny, był tak zachwycający, że motłoch zbrodnia-rzy i nierządnic prosił ją często, żeby śpiewała, i dał jej przydomek Gualezy śpiewaczki.

Nieznany obrońca dziewczyny (nazwiemy go Rudolfem) miał lat około trzydziestu. Jego postać, zwinna, proporcjonalna, nie zapowiadała nadzwyczajnej siły, jaką okazał w walce. Błada cera, oczy jakby rozdartowane, ironiczny uśmiech zdradzały człowieka przesyconego rozkoszami życia. A jednak swą wypieszczoną ręką Rudolf przed chwilą powalił na ziemię najsilniejszego bandytę Cité. Zmarszczki na czole Rudolfa znamionowały człowieka głęboko myślącego. W zadumanym oku niekiedy przeblyskiwała słodycz, litość, innym razem surowość, złośliwość, wzgarda i okrucieństwo. Z taką łatwością zaś naśladował zachowanie bywalców garkuchni, że z pozoru nic – prócz rąk, białych i miękkich – nie odróżniało go od reszty gości.

Wszedłszy do garkuchni, Szuryner, kładąc dłoń, szeroką i włochatą, na ramieniu Rudolfa, zawołał:

– Cześć zwycięzcy Szurynera!... Tak jest, przyjaciele, ten chłopak mnie pokonał... Mówię to dla amatorów, którzy życzą sobie mieć połamane żebra albo rozbity łeb, nie wyłączając Bakalarza, który tym razem znajdzie swego mistrza...

Na te słowa gospodyni i wszyscy obecni spojrzeli na Rudolfa z uszanowaniem i obawą. Gospodyni, uśmiechając się do niego, wstała, by zapytać, co rozkaże podać.

Jeden z dwóch gości, o których wspomnieliśmy, schylił się do gospodyni i zapytał ochrypłym głosem:

– Czy byt tu Bakalarz?

- Nie – odpowiedziała.
 - A wczoraj?
 - Był. Czemu pytasz o niego?
 - Bo dziś wieczór mieliśmy się zejść. Mamy interesy.
 - Śliczne to muszą być interesy, zbójce!...
 - Zbójce! – powtórzył bandyta rozjątrzony. – Z nich żyjesz!
 - Ejże! Będziesz ty cicho? – zawołała gospodyni podnosząc butelkę, którą trzymała w ręku, a mężczyzna mrucząc siadł znowu na miejscu. – Czym każecie sobie służyć? – spytała uprzejmie Rudolfa.
 - Spytajcie Szurynera, matko; on zaprasza, ja płacę... No, cóż chcesz na wieczerzę, hultaju?
 - Dwie butelki wina, trzy kromki chleba i porcję mięsa – rzekł Szuryner. – A ty. Gualezo, będziesz jeść?
 - Nie... nie jestem głodna
 - Ależ, dziewczyno, spojrzysz w oczy memu zwycięzcy – zawołał Szuryner, śmiejąc się na całe gardło. – Boisz się patrzeć na niego?
- Gualeza w milczeniu spuściła oczy. Gospodyni przyniosła wieczerzę, która wprawiła w zachwyt Szurynera; jadł zawzięcie. Tak upłynęło kilka chwil, gdy wszedł nowy gość, raczej stary niż młody, żwawy, silny. Spojrzano tylko na niego i nikt już nań nie zważał. Wszyscy wiedzieli, kto to jest. Bandyci wnet poznali swego. Nowo przybyły siadł tak, żeby sam nie widziany, mógł śledzić ruchy dwóch mężczyzn, z których jeden dowiadywał się był o Bakalarza.
- Rozmowy ciągnęły się dalej. Szuryner z szacunkiem odnosił się do Rudolfa.
- Słowo daję – rzekł – choć mnie tego przetrzepałeś, rad jednak jestem, że cię spotkał. Chciałbym widzieć, jak weźmiesz się za łeb z Bakalarzem. On mnie zawsze bił.
 - Myślisz, że dla twojej zabawy rzucę się na niego jak brytan?
 - Bynajmniej, ale on skoczy do ciebie, gdy mu powiedzą, żeś silniejszy od niego.
 - Mam dość drobnych, aby i jemu jeszcze zapłacić – rzekł Rudolf niedbale; potem dodał: – Ależ pogoda, psa szkoda wygnąć z domu! Trzeba by kazać dać wódki, pilibyśmy, a Gualeza może by nam zaśpiewała.
 - Zgoda – rzekł Szuryner.
 - I powiemy sobie, kim jesteśmy – dodał Rudolf. Szuryner wstał, przyłożył lewą rękę do czapki i powiedział:
 - Albinos, inaczej zwany Szurynerem, niegdyś więzien na galerach za morderstwo, dziś uwolniony, zimą marznie w wodzie, latem piecze się na słońcu; oto moje życie. A ty – dodał – mój panie? Pierwszy raz widzimy cię tutaj... Musisz mieć jakieś rzemiosło?
 - Robię malowidła na wachlarzach i nazywam się Rudolf.
 - Malarz! – zawołał Szuryner. – A więc dlatego masz takie białe ręce. Ale czemu chodzisz do takiej nory jak ta, gdzie bywają złodzieje, zbójce i galernicy?
 - Przychodzę tu, bo lubię się bawić.
 - Hm! Hm! – bąknął Szuryner. – Wiesz co, zdaje się, że mi nie ufasz, i nie mam ci tego za złe. Żebyś mnie poznał, opowiem ci moje życie. Ale ty zacznij naprzód, mój panie.
 - Malarz to ładne rzemiosło – rzekła Gualeza.
 - Wiele też na dzień zarabiacie? – spytał Szuryner.
 - Kiedy się postaram – odparł Rudolf – mogę zarobić cztery franki, czasem pięć, ale to latem, bo dni dłuższe.
 - A często wałęsasz się, paniczu?
 - Hm! Dopóki mam grosz w kieszeni. Za nocleg płacę sześć sous, tytoń kosztuje mnie na dzień cztery sous, to dziesięć, śniadanie cztery, to czternaście, obiad piętnaście sous, więc co

dzień wydaję około półtora franka. Nie potrzebuję pracować cały tydzień, resztę czasu bawię się.

– A twoi rodzice? – rzekła Gualeza.

– Umarli na cholere.

– U kogóż pracujesz, kim jest twój majster?

– Nazywa się Borel, głupi gbur, złodziej i skapiec, wolałby dać sobie oko wybić niż człowiekowi płacić za robotę. Niechaj przepadnie! Byłem u niego na nauce od piętnastego roku. Od spisu wojskowego jestem wolny; mieszkam przy ulicy Juiverie na czwartym piętrze od frontu, nazywam się Rudolf. Oto i moja historia.

III

Historia Gualazy

- Teraz ty gadaj, Gualazo – rzekł Szuryner.
- Kim są twoi rodzice? – spytał Rudolf.
- Nie znam ich; urodziłam się, jak to mówią, pod kapuścianym liściem.
- W takim razie, Gualazo – zawołał Szuryner – jesteście krewnymi, bo i ja nie wiem, skąd się wziąłem.
- A kto cię wychował? – przerwał Rudolf.
- Nie wiem... Odkąd pamiętam, byłam przy starej, jednookiej babie; nazywali ją Puchaczką; miała nos zakrzywiony jak hak, oko zielone, okrągłe. Wieczorem sprzedawałam cukier, a prawdę mówiąc, zebrałam... Kiedy, wracając, nie przyniosłam najmniej dziesięciu sous, dostawałam szturchańce zamiast wieczerzy.
- A pewna jesteś, że to nie twoja matka? – spytał Rudolf.
- Najpewniejsza, bo mi Puchaczką dość często wymawiała, żem sierota bez ojca i matki.
- I tak – rzekł Szuryner – zawsze byłaś bita?
- Zawsze dostawałam szklanek wody, kawałek suchego chleba i kładłam się na całą noc marznąć w stary siennik, w którym Puchaczka zrobiła dziurę, żebym weń mogła wleźć. Najjutrz dostawałam takie samo śniadanie i szłam za miasto do Montfaucon zbierać robaki do wędek bo Puchaczka sprzedawała na moście wędki.
- Mimo to urosłaś prosta jak trzcina, dziewczyno; nie masz się co skarżyć. Od tej chudej strawy jesteś taka cienka i zgrabna – przerwał Szuryner, buchając dymem z fajki. – Ale cóż ci to, bracie... panie Rudolfie? Czegoś posępny?... Czy dlatego, że ta dziewczyna użyła biedy?... Nam wszystkim nie lepiej było.
- O! Ręczę, że nie wycierpiałeś tyle co ja, Szurynerze.
- Ależ, dziewczyno, w porównaniu ze mną miałaś się jak hrabia. Przynajmniej gdyś była mała, spałaś na słomie i jadłaś chleb... Ja, kiedy mi szczęście służyło, sypiałem w piecach w Clichy, gdzie wypalają wapno; jadłem liście kapusty, a głód mnie ścinał z nóg.
- Mężczyzna ma więcej siły – odparła Gualaza – ale biedna dziewczyna... Stałam na moście z moim cukrem i płakałam z, głodu i zimna. Litowali się przechodzący wyżebrałam czasem piętnaście sous, ale i to mi na dobre nie szło, bo Puchaczka widząc, że im więcej płacę, tym więcej zbiorę, umyśliła bić mnie zawsze, nim postawi na moście.
- Niezły koncept!
- A pewnie, Szurynerze. Ale ja wreszcie przyzwyczaiałam się do bicia. Więc się śmiałam zamiast płakać, śpiewałam... chociaż mi się nie chciało śpiewać. Jednego dnia ulicznicy zabrali mi mój koszyk. Stara wybiła mnie i nie dała chleba. Wieczorem zaczęła mi wrywać włosy na skroni – tam najwięcej boli...
- Bodaj ją piorun trzasł! To za wiele! – krzyknął bandyta, uderzając pięścią w stół.
- Rudolf spojrział zdziwiony na Szurynera; zastanowił go ślad uczucia w takim człowieku. Dziewczyna mówiła dalej:
- Powiedziałam wam tedy, że Puchaczka dręczyła mnie, żebym płakała; to mnie rozjątrzyło: na złość jej śmiałam się idąc na most z koszykiem cukru. Od pół roku nosiłam ten cukier i nigdy nie skosztowała, ale tego wieczora, z głodu i żeby dokuczyć babie, wziąłem laskę cukru i zjadłam.
- Świetnie! – zawołał Szuryner.

– Puchaczka widząc, co się dzieje, grozi mi pięścią z daleka, bo nie mogła odejść od straganu. Ja myślę sobie: więcej mnie nie wybije za trzy laski cukru niż za jedną... pokazuję jej cukier i w jej oczach go zjadam.

– Wybornie! – wołał Szuryner. – Lecz Puchaczka musiała z ciebie żywcem złupić skórę.

– Zgarnawszy stragan, przyszła do mnie: myślałam, że padnę na miejscu, tak się bałam. Przyszędłszy do domu, Puchaczka zamknęła drzwi na klucz; padłam przed nią na kolana, błagając o przebaczenie, a ona nic nie odpowiada. Wtem chwyciła obcęgi...

– Obcęgi? – zawołał Szuryner. – Na co?

– Żeby mi wyrwać ząb.

Szuryner zaklął.

– Co ci jest? – spytała Gualeza.

– Co mi jest? ...Toćbym tę jednooką wiedźmę zabił, gdyby mi wpadła w ręce. – I oko bandyty nabiegło krwią.

– I wyrwała ci ząb, biedna dziewczyno, ta niegodziwa baba? – zapytał Rudolf.

– A jakże!... I to nie od pierwszego razu! Mój Boże, jakże mnie męczyła! Dobyła mi ten ząb, mówiąc przy tym: „Odtąd co dzień wyrwę ci po jednym, a kiedy już zostaniesz bez zębów, wrzucę cię do wody”.

– O, przekłeta baba! – zawołał Szuryner.

– A czy dzisiaj znać co jeszcze? – odparła Gualeza i uśmiechając się, ukazała dwa rzędy zębów, równych i białych jak perły.

– Co potem zrobiłaś? – spytał Szuryner.

– Prawdę mówiąc, przebrała się miarka. Nazajutrz uciekłam. Szłam cały dzień, błakając się po ulicach. Nocą wlałam do składu drzewa, pod stos kory. Głód mi dokuczał, próbowałam jeść trociny, ale nie mogłam. Tam mnie następnego dnia znaleźli i odprowadzili na policję. Badali mnie, sądzili i jako włóczęgę skazali na siedzenie w domu poprawczym do lat szesnastu. Podziękowałam sędziom za ich łaskę, bo przecież w więzieniu dawali mi jeść. Nadto w więzieniu nauczyłam się szyć. Ale wołałam śpiewać niż pracować; kiedy śpiewałam, zdawało mi się, że jestem wolna.

– To prawdziwie urodziłaś się słowikiem – zauważył Rudolf.

– Gdy skończyłam szesnaście lat, wypuszczono mnie z więzienia. Ledwie wyszła na ulicę, zaczepiła mnie gospodyni tego szynku i jeszcze kilka staruch. „Mój aniołku”, mówią do mnie, „czy chcesz mieszkać u nas? Damy ci piękne suknie, a nic nie będziesz robić, tylko się bawić”. Kto osiem lat wysiedział, ten wie, jak to ma rozumieć, Anim ich chciała słuchać. Myślę sobie: „Mam zarobionych trzysta franków, umiem szyć, robota się znajdzie, gdy nie stanie pieniędzy”. Chętka do zabaw mnie zgubiła... ale nie było nikogo, kto by mi dał dobrą radę... Nakupiłam kwiatów na cały pokój; tak lubię; kwiaty! Potem ładną suknię, jeździłam na spacer...

– Z kochankiem? – spytał Szuryner.

– Gdzie tam! Chciałam być panią siebie. Za towarzyszkę do zabaw brałam dziewczynę, co była razem ze mną w więzieniu; to dobra dziewczyna, nazywa się Rigoletta.

– Rigoletta? – przerwał Szuryner. – Nie znam jej.

– O, wierzę, to uczciwa szwaczka, zarabia dwadzieścia pięć sous dziennie, ma własne małe gospodarstwo... Cóż powiem? Tak długo marnowałam pieniądze, aż mi zostało tylko pięćdziesiąt franków. I wtedy właśnie dowiedziałam się, że moja praczka nie ma nawet czym zapłacić za łóżko, że zległa w piwnicy i leży na słomie, nie mając czym okryć ani siebie, ani swojej kruszyny. Pobiegłam do domu, zabrałam wszystką bieliznę, jaką miałam, zaniósłam jej i czuwałam przy niej, aż znowu mogła się podnieść. Pomagałam jej pieniędzmi, wyzdrowiała. Teraz ma z czego żyć, ale nigdy nie chce mi powiedzieć, com jej winna za pranie. Widzę, że chce mi się w ten sposób uiścić z długu. Jeśli tak dalej będzie, muszę sobie znaleźć inną praczkę.

– A gdy ci zabrakło pieniędzy?... – spytał Rudolf.

– Ha, wtedy szukałam roboty. Umieć bardzo dobrze szyć, szczerze chciałam pracować, poszłam śmiało do magazynu bielizny. Powiedziałam, że przed dwoma miesiącami wyszłam z więzienia i że chciałabym dostać pracę. Za całą odpowiedź pokazano mi drzwi. Wracałam do domu smutna, spotkałam tutejszą gospodynię... wzięła mnie ze sobą... opila wódką... i tak rzeczy poszły!

– Rozumiem – rzekł Szuryner. – To się nazywa zupełna spowiedź.

– Zdaje się, że żałujesz, iż opowiedziałaś swoje życie? – zapytał Rudolf.

– Bądź co bądź miło jest być uczciwą – odparła Gualeza z westchnieniem.

– Uczciwą!... – zawołał bandyta, śmiejąc się. – A po co? Żeby czcić ojca i matkę, których nie znałaś nigdy?

Na twarzy dziewczyny malowało się głębokie zadumanie.

– Słuchaj – rzekła – że ojciec albo matka rzucili mnie na ulicy jak szczenię, nie mam im tego za złe; pewnie sami nie mieli z czego żyć. Ale są ludzie szczęśliwsi ode mnie.

– Od ciebie? Jesteś śliczna, nie masz siedemnastu lat, śpiewasz jak słowik, wszyscy cię lubią – i użalasz się. A cóż dopiero, gdy będziesz stara jak ta szynkarka?

– O, ja tak długo nie pożyję, umrę młodo; już kaszlę.

– Czy często przychodzą ci takie myśli, Gualazo? – spytał Rudolf.

– Czasem, może pan to lepiej zrozumie od niego. Kiedy widzę, jak mleczarka z wózkiem wraca na wieś, jakże jej zazdroszczę! Ja idę sama do ciemnej izby, gdzie nawet słońce nie zajrzy.

– A więc bądź uczciwa!

– Uczciwa, mój Boże! A jakim sposobem? Za co? Suknie, które mam na sobie, należą do gospodyni, winnam jej za mieszkanie i za stół...nie mogę ruszyć się z miejsca. Kazałaby mnie przytrzymać. Daj pić, Szurynerze – wtrąciła żywo, podsuwając szklanekę – nie, nie wina, daj wódki, to mocniejsze. – A wypiwszy z widocznym obrzydzeniem, dodała: – Szkoda, że wódka ma tak paskudny smak.

Rudolf słuchał tej przerażającej opowieści ze wzrastającym zajęciem. Nędza, brak opieki i doświadczenia zgubiły nieszczęsną dziewczynę, którą w szesnastym roku życia los rzucił samotnie w ogrom Paryża. Mimo woli Rudolf pomyślał o ukochanym dziecku, które stracił... córeczka... umarła mając sześć lat... teraz miałyby szesnaście jak Gualeza. Wspomnienie to pogłębiało jeszcze jego współczucie dla skrzywdzonej sieroty.

IV

Historia Szurynera

Czytelnik nie zapomniał dwóch gości, których bacznie obserwował trzeci, później przybyły. (Jeden z nich ciągle chował lewą rękę i kilkakrotnie dopytywał się, czy Bakalarza nie było dziś w garkuchni). Podczas opowiadania Gualezy, którego słyszeć nie mogli, niepokój ich wzrastał. Człowiek, co ich śledził, porównawszy ich wygląd ze wskazówkami, jakie miał zapisane na małej karteczce, wstał i rzekł do gospodyni:

– Słuchajcie, matko, zaraz wrócę; pilnujcie mojej butelki i talerza.

– Bądź spokojny, jeśli butelka próżna, a na talerzu nic nie ma, nikt ich nie dotknie.

Gdy człowiek ten wychodził, Rudolf spostrzegł na ulicy węglarza o olbrzymim wzroście. Nim drzwi się zamknęły, Rudolf miał czas okazać gestem, jak dalece jest mu przykry ten rodzaj opiekuńczego dozoru; węglarz jednak, nie zważając na to, nie oddalił się od gospody.

Gualeza, chociaż nieco odurzona wódką, nie odzyskała wesołości; oparta o ścianę, ze spuszczoną głową, pogrążyła się w czarnych myślach.

Szuryner, przeciwnie, był w najlepszym humorze. Sam spożył całą wieczerzę; wino i wódka rozwiązały mu język. Dzika otwartość, z którą się przyznał, że zabił człowieka i poniósł słuszną karę, duma, z jaką zapewniał, że nigdy nic nie ukradł, zdawały się dowodzić, że mimo popełnionych zbrodni nie jest to zatwardziały bandyta. To też Rudolf z ciekawością czekał na jego biografię. Szuryner wychylił szklanekę i zaczął:

– Ciebie, moja biedna Gualezo, przytuliła choć Puchaczka, która bodajby się smażyła w piekle!... Ja nie pamiętam, żebym kiedy spał na posłaniu, aż do lat dziewiętnastu, kiedym wstąpił do wojska.

– Służyłeś więc? – zapytał Rudolf.

– Trzy lata. Ale o tym później. Schody pałaców, piece, w których palono wapno w Clichy, kamieniołomy w Montrouge – oto miejsca, gdzie spędziłem młodość. Mogłem mieć dwanaście lat, kiedym się dostał do Montfaucon, gdzie biją stare konie i zdejmują z nich skórę. Z początku zabijanie biednych zwierząt robiło na mnie wrażenie, ale wkrótce polubiłem moje zajęcia.

– A jak cię nazywano? – spytał Rudolf.

– Miałem włosy jeszcze podobniejsze do lnu niż teraz i często oczy krwią mi zachodziły, dlatego zwali mnie Albinosem. Albinosy między ludźmi to, to samo co białe króliki między zwierzętami – dodał poważnie.

– A twoi rodzice? Krewni?

– Rodzice? Nieznani. Miejsce urodzenia: pierwszy lepszy róg jakiej bądź ulicy; niewielką mi przysługę zrobili, że mnie na świat wydali. Wielem użył biedy.

– Byłeś głodny, ziębleś, a nie kradłeś?

– Nigdy.

– Bałeś się pójść do więzienia?

– Gdzież znowu! Nie kradnąc, puchłem z głodu; złodzieja karmiliby w więzieniu! Nie, nie kradłem, bo... bo... kraść – to nie dla mnie robota.

Rudolfa rozczuliła ta odpowiedź.

– To dobrze – rzekł – masz jeszcze serce i honor.

Bandyta zmieszał się; spojrzął na Rudolf a z szacunkiem. Pojmował, jaka przepaść ich dzieli.

– Nie wiem, czy tak – rzekł. – Ale to, co mi pan powiedział...nikt jeszcze do mnie tak nie mówił... Dosyć... nigdy panu tego nie zapomnę!

– Długo byłeś w Montfaucon? – spytał Rudolf.

– Kilka lat; z początku mdło mi się robiło, kiedym zarzywał biedne szkapy. Ale gdy skończyłem siedemnaście lat, jakiś szal mnie ogarnął. Czasem ze dwadzieścia koni czekało na swą kolej. Ja, bez koszuli, z wielkim ostrym nożem, uwijałem się między nimi... oczy krwią napływały, ciąłem nożem bez pamięci, póki mi z rąk nie wypadał. A że przy takiej robocie kaleczyłem skóry, wymówiono mi. Chciałem pójść do rzeźników. Ale gdzież tam! Gardzili mną. Więc przystałem do wojska. Miałem wzrost dobry, siły dosyć, przyjęli. Szkoda tylko, że nie mieliśmy wojny. A z karnością wojskową nie ma co żartować. Jednego dnia sierżant wyłajał mnie; i słusznie, bo się leniłem; to mnie rozgniewało, nie usłuchałem go, on mnie popchnął, ja jego pięścią w pierś. Rzucają się na mnie inni; wściekłość mnie ogarnia, czerwieni mi się w oczach... Miałem nóż w ręku, jak szalony uderzam; zabiłem sierżanta, zraniłem dwóch żołnierzy.

Bandyta spuścił głowę i chwilę siedział zasępiony.

– O czym myślisz, Szurynerze? – zapytał Rudolf.

– Krótko mówiąc, zakuli mnie w kajdany, zasądzi i skazali na śmierć – mówił dalej Szuryner, nie odpowiadając Rudolfowi.

– Więc uciekłeś z więzienia?

– Nie; zmienili mi karę śmierci na piętnaście lat ciężkich robót na galerach. Zapomniałem powiedzieć, że w czasie służby uratowałem dwóch kolegów tonących i kiedyś podczas pożaru wyniosłem z ognia starą, chorą babę!... Koniec końcem, mój obrońca tyle gadał, że nie miałem być rozstrzelany... Kiedy przyszedł powiedzieć mi o tym, chciałem go zadławić...

– Żałowałeś, że ci zmienili karę?

– A pewnie... krew za krew, to słuszne; kto kradł, niech dźwiga kajdany. Ale zmusić człowieka, żeby żył po zabójstwie...

– Sumienie cię gryzło?

– Nie; przecież odsiedziałem swoje lata – odparł Szuryner – ale dawniej co noc prawie śniło mi się, że widzę sierżanta i tych żołnierzy. A za nimi ze stu i więcej, stoją rzędem; czekają, żebym ich pozarzywał jak niegdyś konie... Rzucam się na nich we śnie, zabijałem jednego po drugim, a coraz więcej ich przybywało... Mało tego... nigdy nie miałem brata, a zdawało mi się, że to wszystko moi bracia, za których chętnie życie bym oddał. Złany zimnym potem, budziłem się...

– To straszny sen, Szurynerze.

– O, tak! Myślałem, że zwariuję, chciałem sobie życie odebrać; ale mi się nie udało. W końcu przemogło nawyknienie do życia.

– Byłeś w dobrej szkole, żeby się nauczyć kraść.

– Prawda, ale zbywało na chęci. Inni więźniowie dlatego właśnie drwili ze mnie; wytłukłem ich i dali mi spokój. Poznałem tam i Bakalarza... Dostałem od niego tak samo, jakem dostał dziś wieczór od ciebie.

– Więc to zwolniony galernik?

– Był skazany na dożywocie, ale sam się uwolnił.

– Uciekł? I nie wydadzą go?

– Ja go nie wydam.

– Policja go nie wyśledzi?

– Dzisiaj sam Lucyper by go nie poznał... Miał nos długi – oberznął go sobie i nadto jeszcze umył twarz witriolem; od sześciu miesięcy, jak zbiegł z galer, policjanci sto razy go spotkali, a żaden nie poznał.

– Za cóż siedział?

- Za fałszerstwo, kradzież i zabójstwo. Nazywają go Bakalarzem, bo ślicznie pisze i jest bardzo uczony.
 - Złowią go prędzej czy później.
 - Żywcem go nie wezmą. Zawsze nosi pod bluzą dwa nabite pistolety i sztylet.
 - A od czasu uwolnienia z czego żyjesz?
 - Ładuję drzewo. Z tego mam chleb.
 - Ale skoro nie jesteś złodziejem, czemu mieszkasz tu, w tej złodziejskiej norze?
 - I gdzie będę mieszkał? Kto zechce przestawać z kryminalistą? Sam się nudzę; lubię towarzystwo; tu żyję z równymi sobie; Szuryner zamilkł i wytrząsnął fajkę.
- Wtem nowe zdarzenie przypomniało wszystkim trojgu, w jakim miejscu się znajdują.

V *Uwięzienie*

Człowiek, który wyszedł, poleciwszy opiece szynkarki swoją butelkę, wrócił z drugim mężczyzną, barczystym, śmiałego wejrzenia.

– Co za szczęście, że się spotykamy, Borelu! Wejdz, wypijemy szklanek!

Szuryner szepnął Rudolfowi i Gualezie:

– Będzie awantura. To policjanci. Baczność!

Dwaj bandyci, z których jeden zapytywał o Bakalarza, znacząco spojrzeli na siebie, wstali i podeszli ku drzwiom. Policjanci rzucili się na nich. Walka była zawzięta; wpadło jeszcze kilku policjantów, a za otwartymi drzwiami błysnęły strzelby żandarmów. Bandyta, który ciągle chował rękę, szamocąc się z napastnikami, ryczał jak dziki zwierzę; trzech ludzi ledwie mogło go utrzymać. Drugi zaś, zsiniały, z twarzą konwulsyjnie drgającą, nie bronił się wcale i sam podał ręce, na które mu założono kajdanki. Gdy wszystko się skończyło, gospodyni zapytała obojętnie jednego ze znajomych żandarmów:

– Cóż to ci ludzie zrobili, mój dobry panie Borel?

– Zabili wczoraj starą kobietę przy ulicy Świętego Krzysztofa. Nieszczęśliwa zeznała przed śmiercią, że jednego z nich ugryzła w rękę. Mój towarzysz przyszedł przekonać się, czy to oni. Teraz ich złowiliśmy.

Po wyjściu policjantów zapadło milczenie. Gospodyni wreszcie przerwała je mówiąc:

– Szczęście dla Bakalarza, że go tu nie było; ten w czerwonej czapce dwa razy o niego pytał, bo mają jakieś interesy... Ale o wilku mowa, a wilk tu: otóż i Bakalarz ze swoją nową żoną.

Mężczyzna i kobieta weszli do gospody. Wszystkich ogarnął lęk na ich widok. Nawet na Rudolfie zrobił wrażenie ten straszny zbójca. Spoglądał nań z ciekawością i przekonał się, że Szuryner nie przesadził w opisie. Bakalarz okropnie zeszpecił sobie twarz. Wszędzie głębokie blizny, sine, wygryzione wiotrolem; wargi nabrzmiałe, dwie nieforemne dziury zamiast nozdrzy. Oczy – jasne, małe, okrągłe – błyszczały dzikością; czoło – spłaszczone jak u tygrysa – ginęło pod wielką futrzaną czapką. Bakalarz był średniego wzrostu; głowę miał wielką, szerokie, silne, mięsiste barki rysowały się pod fałdami płóciennej bluzy; długie, muskularne ręce świadczyły o niezwykłej sile. Kobieta, która z nim przysłała, była stara, dosyć przyzwyczajona ubrana. Ujrawszy ją Gualeza pobladała i drżąc schwyciła Rudolfa za rękę.

– Boże! Boże! To ona... to Puchaczka...

Bakalarz podszedł wolno do stołu, gdzie siedzieli Rudolf, Gualeza i Szuryner, i rzekł chrapliwym głosem:

– Słuchaj no, ślicznotko, rzucisz tych dwóch bałwanów i pójdziesz ze mną...

Dziewczyna drżąc trzymała się Rudolfa.

– A ja... nie będę zazdrosna – zawołała Puchaczka, śmiejąc się do rozpuku. Nie poznała w Gualezie dziecka, nad którym się pastwiła.

– Co to? Nie rozumiesz mnie, dziewczko! – wrzasnął Bakalarz. – Jak zaraz nie pójdziesz, to wybiję ci oko, żebyś była do pary z Puchaczka; hej, ty, z wąsami – mówił do Rudolfa – jeśli mi jej w tej chwili nie oddasz, duszę ci wytrzęsę.

– Boże! Ratuj mnie! – zawołała Gualeza, załamując ręce, a wspomniawszy, że może narażać Rudolfa na niebezpieczeństwo, dodała: – Panie, nie ruszaj się z miejsca; jeśli on się zbliży, krzyknę, a gospodyni z obawy przed policją ujmie się za mną.

– Bądź spokojna, moje dziecko – odparł Rudolf patrząc śmiało na Bakalarza. – Skoro przykro ci patrzeć na to szkaradne bydło, wypchnę go na ulicę.

– Ty?!... – krzyknął Bakalarz.

– Ja!... – odparł Rudolf.

I mimo błagania Gualezy wstał od stołu.

Bakalarz cofnął się o krok na widok fizjonomii Rudolfa; Gualeza i Szuryner poznać nie mogli towarzysza, tak piekielny gniew wykrzywił w jednej chwili jego szlachetną twarz. W walce z Szurynerem wydawał się wesoły, teraz ogarnęła go zajadła nienawiść, źrenice błyskały dziwnym ogniem. Są ludzie mający w spojrzeniu magnetyczną siłę. Rudolf ją posiadał. Bakalarz zadrżał, cofnął się, nie dowierzając już swojej sile, sięgnął pod bluzę po nóż. Może by doszło do zabójstwa, lecz Puchaczka zawołała:

– Poczekaj no, poznaję tę dziewczynę. Toć to Maryśka, co mi kradła cukier. Bądź spokojna, choć ci już zęba nie wyrwę, to wszystkie łyzy z ciebie wycisnę. Czy wiesz, że znam twoich rodziców? Bakalarz widział na galerach człowieka, co mi cię oddał jako małe dziecko... Masz bogatych rodziców...

– Mam rodziców!... Znasz ich?... – krzyknęła Gualeza.

– Znam czy nie, tobie nic do tego. Prócz mnie tylko mój wie, jak się nazywa twoja matka, ale wyrwałabym mu raczej język, niżby ci to miał powiedzieć... Co to, płaczesz?!

– Wolę, żeby rodzice myśleli, że mnie już nie ma na świecie – rzekła Gualeza z goryczą.

Rudolf, zapomniawszy o Bakalarzu, słuchał uważnie, bandyta zaś, nie będąc już pod wpływem wzroku przeciwnika, odzyskał odwagę. Ufny więc w swą herkulesową siłę, zbliżył się do obrońcy Gualezy.

– Dość gawęd... Muszę fircykowi dać, co mu się należy...

Jednym skokiem Rudolf przesadził stół; Bakalarz stanął w pozycji. Nagle drzwi się otworzyły, wpadł węglarz, odepchnął Bakalarza, zbliżył się do Rudolfa i po angielsku szepnął mu do ucha:

– Książę! Tom i Sara są na rogu ulicy.

Na te słowa Rudolf wzdrygnął się z gniewu, rzucił luidora na stół i skoczył ku drzwiom. Bakalarz chciał mu przeciąć drogę, ale Rudolf uderzył go w twarz tak mocno, że bandyta zachwiał się.

– Wiwat! – zawołał Szuryner – poznaję to uderzenie, i ja się takich nauczę...

Bakalarz skoczył w ślad za Rudolfem, ale ten z węglarzem znikł już wśród labiryntu uliczek. Bandyta zaprzestał daremnej pogoni i wrócił do szynku. Jednocześnie z nim weszły dwie osoby, zdyszane od szybkiego biegu.

– Do czorta! – rzekła jedna z nich – znowu nam znikł!

Goście ci rozmawiali po angielsku.

Gualeza, przerażona spotkaniem z Puchaczką i groźbami Bakalarza, skorzystała z zamieszania wywołanego przybyciem nowych gości i wymknęła się z szynku.

VI

Tom i Sara

Nowo przybyli pochodzili z lepszej klasy. Mężczyzna słusznego wzrostu, wysmukły, o rysach surowych, miał włosy prawie białe, a faworyty czarne, krepę na kapeluszu, angielski surdut, szaraczkowe spodnie i długie buty. Druga osoba, szczupła, blada, piękna, była również w żałobie; czarne włosy i oczy odbijały od bladej cery. Chód i drobne rysy zdradzały kobietę.

– Tom, każ coś dać i wypytaj tych ludzi o niego – odezwała się Sara po angielsku. Usiedli przy stole. Tom zawołał o wino.

Przybycie tych dwóch osób obudziło zainteresowanie. Ubiór ich i obejście dowodziły, że nie zwykli uczęszczać do takich garkuchni. Szuryner, Bakalarz i Puchaczka przyglądali się im z uwagą.

Tom zawołał powtórnie z niecierpliwością:

– Prosiłem o wino, moja pani.

Gospodyni, zdziwiona taką grzecznością, sama wdzięcząc się podała wino. Tom rzucił jej pięć franków.

– Schowaj to pani dla siebie i wypij z nami szklaneczkę. Ale – dodał – mieliśmy się zejść z kolegą w szynku na tej ulicy, możeśmy się omylili.

– To jest szynk „Pod Białym Królikiem”.

Tom rzucił znaczące spojrzenie na Sarę i rzekł:

– Właśnie „Pod Białym Królikiem”.

– A jak wygląda pański znajomy?

– Wysoki, szczupły, szatyn, ciemne wąsy...

– Zaraz, zaraz... tylko co tu był... lecz jakiś węglarz przyszedł po niego i razem wyszli.

– To oni! – zawołał Tom.

– Byli sami? – spytała Sara.

– Węglarz wszedł na chwilę, ten drugi jadł tutaj z Gualezą i Szurynerem – rzekła gospodyni, wskazując tego ostatniego.

Tom i Sara zwrócili uwagę na Szurynera. Sara spytała towarzysza po angielsku:

– Znasz tego człowieka?

– Nie. Karol zgubił ślad Rudolfa w tych ciemnych uliczkach, lecz widzę, że Murf, przebrany za węglarza, kręci się tutaj i zagląda do okna, przyszedł nas powiadomić...

Bakalarz, obserwując Toma i Sarę, szepnął do Puchaczki:

– Ten wysoki rzucił pięć franków gospodyni. Już niedługo północ, deszcz pada; ruszmy za nimi i zabierzmy pieniądze.

– Gdyby ten mały chciał krzyżeć, obleję mu twarz witriolem – rzekła Puchaczka, a po chwili dodała: – Jak jeszcze raz spotkamy Marysię, jej też wymyję twarz witriolem, żeby się nie pyszniła urodą.

– Niech mnie diabli wezmą – zawołał Bakalarz – muszę się z tobą ożenić! Któraż kobieta ma takie koncepty?...

Po chwili namysłu Sara powiedziała do Toma:

– Wypytajmy tego człowieka o Rudolfa.

– Ha, spróbujmy – odparł Tom, a obracając się do Szurynera, dodał: – Przyjacielu, mieliśmy się zejść w tym szynku z naszym przyjacielem, który tu z tobą wieczerał; czy nie mógłbyś nam powiedzieć, dokąd poszedł? Dawno go znasz?

– Znam go, bo pobił mnie, broniąc Gualezy. Pierwszy raz go spotkałem przed domem Czerwonego Janka.

– Gospodyni, proszę jeszcze o butelkę najlepszego wina – zawołał Tom, siadając z Sarą obok Szurynera. – Szczególne imię... Czerwony Janek! Kto to taki?

– Przemysłownik – odpowiedział niedbale Szuryner. – Doskonałe wino, moja gosposiu.

Tom nalał mu wina.

– Pańskie zdrowie i jego przyjaciela!

Sara zarumieniła się lekko, a Tom znowu zagadnął:

– Mówiłeś, że Czerwony Janek trudni się...

– Kontrabandą; chlubi się swoim rzemiosłem przed celnikami... niechaj go złapią, jeżeli potrafią... ho! Czerwony Janek zna wybiegi!

– A dlaczegoż to Rudolf pobił pana? – zapytała Sara.

– A bo ja chciałem wybić Gualezę; niesprawiedliwie, bo to dobra dziewczyna; uciekła do domu Czerwonego Janka, ja za nią... wpadam na Rudolfa, który mi za to tego zapłacił... Do pioruna, oto mi bicie! No, ale obiecał i mnie nauczyć tego sposobu.

– Co on za handel prowadzi, ten Czerwony Janek?

– Hm! Sprzedaje wszystko, czego nie wolno sprzedawać, i robi wszystko, czego nie wolno robić.

– Pod którym numerem mieszka?

– Numer 13, ulica Grochowa.

Tom zapisał ulicę i numer domu przemysłownika.

– Możecie się szczyścić takim przyjacielem jak Rudolf – dodał Szuryner... – Gdyby nie węglarz, byłby nauczył tego Bakalarza, co tam w kącie coś szepcze z Puchaczką...

– Rudolf cię pobił, musisz go nienawidzić? – zapytała Sara.

– Ja? Nienawidzić takiego chwata? Szczególna rzecz... Bakalarz mnie pobił, cieszyłbym się, gdyby go kto także wytuzował!... Pan Rudolf lepiej mnie wybił... a mimo to dobrze mu życzę. W ogień poszedłbym dla niego.

– Mówisz to dlatego, że jest naszym przyjacielem...

– Nie, do pioruna!... Właśnie lubię go dlatego, że mnie wybił, a nie pyszni się tym! Aż serce rośnie, kiedy spojrzę... ma coś takiego w oczach...

Tom i Sara spojrzeli na siebie w milczeniu.

– Czy zawsze i wszędzie będzie wywierał ten niepojęty wpływ? – rzekła gorzko Sara.

– Zawsze... póki go nie odczarujemy... – odrzekł Tom.

Północ wybiła na ratuszu; szynkowa lampa rzucała słabe światło. Oprócz Szurynera, dwóch nieznanym, Bakalarza i Puchaczki, goście pomału rozeszli się do domów.

Bakalarz rzekł cicho do Puchaczki:

– Schowajmy się naprzeciwko, do sieni. Jak ci ichmościowie wyjdą, ruszymy za nimi.

– Cóż to, nic dziś nie pijecie? – zapytała gospodyni.

– Nie; przyszliśmy tylko schronić się przed deszczem – odpowiedział Bakalarz i wyszedł z Puchaczką.

VII

Pieniądze albo życie

Bakałarz i Puchaczka, mimo gwałtownego wiatru i ulewnego deszczu, zaczajeni w sieni naprzeciwko szynku, usłyszeli, jak Szuryner wyszedł i ruszył w stronę na pół rozwalonej rudery, lecz wkrótce wiatr i deszcz zagłuszył odgłos jego ciężkich kroków. Tom i Sara również wyszli i udali się w przeciwną stronę.

– Dobrze – szepnął Bakałarz do Puchaczki – przygotuj witriol i baczność!

– Pozdejmujemy trzewiki, żeby nie usłyszeli naszych kroków – odezwała się Puchaczka.

Obmierzła para zdjęła obuwie. Chociaż więc szli tuż za Tomem i Sara, stapania ich nie było słychać.

– Szczęściem fiakr na nas czeka – rzekł Tom.

Nagle się zatrzymał.

– Omyliłem się, trzeba było iść na lewo; musimy minąć rozwalony dom, nim dojdziemy do fiakra.

Bakałarz i Puchaczka rzucili się do bramy.

– Tym lepiej, niech idą koło rudery – rzekł Bakałarz.

Tom i Sara zbliżyli się do rozwalonego domu, którego piwnice tworzyły przepaść wzdłuż ulicy. Bakałarz rzucił się jak tygrys, pochwycił Toma za gardło i zawołał:

– Oddaj pieniądze albo cię strącę do tej jamy! – I popchnąwszy go w tył, zatrzymał nad piwnicą, drugą ręką ścisnął jak w kleszczach rękę Sary. Nim się obrócił, Puchaczka obdarła go. Sara powiedziała spokojnie do Toma:

– Oddaj im pieniądze. – A zwracając się do Bakałarza, dodała: – Nie wołamy pomocy, nie róbcie nam nic złego.

Puchaczka, przetrząsnąwszy kieszenie swych ofiar, rzekła do Sary: – Pokaż ręce, może masz pierścionki. Ani jednego... co za nędza!

Tom z zimną krwią, która go ani na chwilę nie odstępowała, rzekł do Bakałarza:

– Mam w pugilaresie ważne papiery, nic ci z nich nie przyjdzie; odnieś je jutro, a dam ci 25 luidorów.

– Aha! Żebyś mnie przytrzymał. Gadaj zdrów...

– Zaraz, zaraz – zawołała Puchaczka. – Jak będziesz grzeczny, można się ułożyć. Wiesz, gdzie jest Saint-Denis i Saint-Ouen?

– Wiem.

– Otóż przyjdź jutro rano sam jeden z pieniędzmi na pole przed Saint-Ouen; ja tam będę z pugilaresem.

– Ale on cię każe schwytać.

– Nie bój się; mam jedno oko, ale dobre, jeżeli kogokolwiek z nim zobaczę, zje diabła, nim mnie złapie.

Sara, jakby uderzona nagłą myślą, zapytała bandyty:

– Chcesz zarobić dużo pieniędzy?

– Zapewne.

– Widziałeś w szynku, gdzieśmy byli, człowieka, po którego przyszedł węglarz?

– Byłbym go uczęstował, ale mnie przewrócił na stół i uciekł. Dajcie mi tysiąc franków, a zabiję go.

– Saro!... – zawołał Tom ze strachem.

– Nie idzie tu o zabicie, nędzniku! – rzekła Sara. – Przyjdź jutro do Saint-Denis, będzie tam mój towarzysz sam jeden i powie ci, co trzeba zrobić, a jeśli ci się uda, dostaniesz nie tysiąc, ale dwa tysiące franków.

– Moja żona tam będzie; powiecie jej, co zrobić.

– A więc jutro o pierwszej.

Bakałarz z Puchaczką szybko się oddalili.

– Piekło nam nastreczyło tego bandytę, może nam usłużyć – rzekła Sara.

– Ja się boję – rzekł Tom.

– A ja mam nadzieję...

Pospieszyli ku kościołowi Najświętszej Marii Panny.

Szuryner, ukryty w ruderach, był świadkiem tej sceny. Dowiedziawszy się o zamiarach Sary i Bakałarza względem Rudolfa, zapragnął go ostrzec... Ale jak? Rozmyślając, machinalnie poszedł za Tomem i Sara, a widząc, że wsiadają do fiakra, siadł z tyłu. O godzinie pierwszej fiakr zatrzymał się na bulwarze Obserwatorium. Tom i Sara zniknęli w nie oświetlonej uliczce.

Noc była nadzwyczaj ciemna, Szuryner nie mógł rozpoznać miejsca; z przebiegłością więc dzikiego Indianina dobył noża, szeroko zaciął drzewo, przy którym zatrzymał się powóz, i wrócił do siebie.

VIII

Przejażdżka

Nazajutrz, po nocnej burzy, zajaśniało piękne jesienne słońce. Około jedenastej Rudolf poszedł na ulicę Grochową do szynku „Pod Białym Królikiem”. Ubrany był jak robotnik, ale z pewną starannością: miał nową bluzę, czarną jedwabną chustkę niedbale związaną, a na niej wywinęty kołnierz od koszuli. Strój ten harmonizował z miłym obejściem Rudolfa, w którym swoboda łączyła się z siłą i zręcznością.

Gospodyni siedziała przed domem.

– Do usług pańskich... chcesz pan zapewne reszty z dwudziestu franków? – zapytała z uszanowaniem. – Należy ci się siedemnaście liwrów i dziesięć sous... Ale, ale... pytano tu wczoraj o pana; jakiś wysoki jegomość z kobietą przebraną za mężczyznę... Pili z Szurynerem.

– Z Szurynerem? I o czymże z nim mówili?

– O różnych rzeczach: o Czerwonym Janku, o pogodzie. Chcesz reszty?

– Tak, i wezmę z sobą Gualezę na cały dzień na wieś.

– Nie można, mój chłopcze. Boby nie wróciła. W moich sukniach chodzi i winna mi dwieście dwadzieścia franków za stół i mieszkanie.

– Masz tu pieniądze – rzekł Rudolf, rzucając na stół jedenaście luidorów. – A ile kosztują wypożyczone suknie?

Szynkarka, zdziwiona, z niedowierzaniem oglądała luidory.

– Myślisz, że fałszywe? To poślij zmienić i basta...

– Jej suknie kosztują przynajmniej sto franków.

– Takie łachmany? Masz, do wczorajszej zapłaty dodam ci jeszcze luidora i koniec.

– To nie dam sukien i Gualeza stąd nie wyjdzie.

– A niech cię! Masz pieniądze i zawołaj mi Gualezę. Powiedz, że pojedzie ze mną na wieś... nic więcej... A zwłaszcza niech nie wie, żem zapłacił jej długi.

– Mnie wszystko jedno, nawet lepiej. Niech myśli, że jest jeszcze w moim ręku. – I wyszła, a po chwili wróciwszy, zawołała: – Gualeza nie chciała mi wierzyć i cała stanęła w płomieniach, jak się dowiedziała, żeś przyszedł. Ale kiedyś powiedziała, że jej wolno na cały dzień jechać na wieś... pierwszy raz w życiu chciała mi się rzucić na szyję.

– Z radości, że się ciebie pozbędzie.

W tej chwili weszła Gualeza. Na widok Rudolfa zarumieniła się i spuściła oczy.

– Czy chciałabyś, moje dziecko, pojechać ze mną na cały dzień na wieś? – spytał Rudolf.

– Bardzo chętnie, jeżeli gospodyni pozwoli.

– Pozwalam ci, moja koteczko, za twoje przykładne postępowanie...

Gdy wyszli, Rudolf zapytał:

– Powiedz mi, w którą stronę pojechać?

– Wszystko mi jedno, byle na wieś... Już sześć tygodni nie byłam dalej jak na rynku z kwiatami.

– Kupowałaś kwiaty?

– O, nie, chodzę tylko popatrzeć na nie... Na kupno nie mam pieniędzy...

– Gdybyś miała kwiaty u siebie, byłabyś wesoła...

– Niezawodnie.... Raz, w dzień imienin, gospodyni podarowała mi doniczkę róż... Patrzyłam ciągle na nie, liczyłam ich płatki; ale... w parę dni róże zaczęły więdnąć. Ubłagałam go-